



Patrick Gale, „Dom w Kornwalii”

Fragment

(...)

Minęło wiele miesięcy, zanim Frances zdała sobie sprawę, że również John wybrał małżeństwo jako ucieczkę od swoich problemów. Jego rodzina ograniczała się do pracującej naukowo siostry Becky, która po zrobieniu w Rexbridge doktoratu z literatury angielskiej przeniosła się na uniwersytet w Kalifornii. Ich matka umarła, gdy byli dziećmi, a ojciec zginął w czasie drugiej wojny światowej, kiedy na dom spadła bomba zapalająca. John żył wśród mężczyzn: na uniwersytecie, w wojsku i służbie więziennej. Do czasu poznania Frances jego prywatne życie sprowadzało się do bytowania w kolejnych nędznych, wynajmowanych pokojach, gdzie czytał książki wypożyczone z miejscowej biblioteki, a traktująca go z szacunkiem smętna gospodyni punktualnie o wyznaczonej godzinie podawała mu śniadanie i kolację. Tak skwapliwie skorzystał z możliwości zawarcia związku małżeńskiego, a dzięki temu z szansy założenia rodziny i poprawienia swego statusu społecznego, że zapewne, jak domyślała się Frances, zanim ta możliwość się pojawiła, stracił wszelką nadzieję na zdobycie żony i zaczął się obawiać, iż jego przyszłość wypełnią tylko coraz liczniejsze obowiązki zawodowe. Rzeczywiście wydawało się, że gdy John się ożenił, zyskał większy szacunek funkcjonariuszy służby więziennej. Tak jak pastorzy i wojskowi musieli mieć żony, aby móc awansować ponad określony szczebel w hierarchii, tak samo zgodnie z niepisanym prawem naczelnicy zakładów karnych, na wzór wychowawców, musieli być mężami i ojcami rodzin, tak jakby skazańców, niczym uczniów szkoły z internatem, miała objąć macierzyńska miłość kobiety tam mieszkającej, choć dla nich niedostępnej.

Przez kilka miesięcy gnieździli się w kwaterach przeznaczonych dla żonatych funkcjonariuszy straży więziennej, a następnie John otrzymał awans i przeprowadzili się do surowo wyglądającego, najeżonego wieżyczkami budynku zarezerwowanego dla naczelnika w londyńskiej dzielnicy Wandsworth. Frances była bardzo szczęśliwa, że uwolniła się od rodziców i życia na prowincjonalnej Isle of Wight. Miała tu duży dom, który należało wyremontować i umeblować, a w nim wielki salon, gdzie bez przeszkód mogła wstawić fortepian i grać na nim – tak głośno i tak długo, jak tylko chciała – poważne utwory, a nie jakieś dziewczęce melodie. (...)

Wyjazd na wakacje to był jej pomysł, zrodzony na widok ogłoszenia w niedzielnej gazecie. Do działania popchnęła Frances szczególnie irytująca świadomość pięknej letniej pogody i braku towarzyskich kontaktów. Podczas kolacji zażądała więc od Johna udania się do Kornwalii. Ku jej zdumieniu mąż się zgodził. Postawił tylko warunek, że wyjazd nie może nastąpić wcześniej niż w drugiej połowie sierpnia i że drugi tydzień wakacji Frances i Julian spędzą sami. W tygodniach poprzedzających pobyt nad morzem rozgorączkowana wyobrażała sobie, jak będzie on wyglądał.

Miała przed sobą perspektywę pobytu przez całe dwa tygodnie w domu nad Atlantykiem, bez strażników, więźniów i ciągłych spojrzeń tych mężczyzn! Całe dwa tygodnie wolne od nudy codziennych zajęć w Wandsworth! Czekala ją przygoda! Zaczęła się jednak dziwnie wstydzić na myśl, że John będzie z nią przebywał przez cały czas i po raz pierwszy będzie go widywała w ubraniu innym niż garnitur. Pomyślała też o tym, że zapewne Julian pozwoli im dłużej wylegiwać się rano w łóżku. W każdym razie miała na to nadzieję. Miała nadzieję na różne rzeczy.

Zaletą wczesnego wyjścia za mąż – co obecnie dostrzegała – było to, że dysponowało się nielicznymi, jeśli w ogóle jakimiś, punktami odniesienia pozwalającymi ocenić, czy małżeństwo jest udane. Było to jednak również przyczyną problemów. Poślubiwszy Johna w wieku osiemnastu lat i rok później urodziwszy dziecko, Frances zaczęła bowiem jako dwudziestoosmiolatka wątpić w to, co dotychczas brała za bliskie szczęściu doskonałemu. W ostatnim letnim semestrze Juliana w szkole nie tylko z pasją grała na fortepianie, lecz także pomagała trzy razy w tygodniu w przykościelnym przedszkolu, zyskując pieniądze na drobne wydatki. Zapełniała sobie w ten sposób czas, kiedy Julian był na lekcjach. Poznała tam koleżankę, Beverly Thomas, która stała się jej pierwszą przyjaciółką zdobytą w Wandsworth bez udziału Johna. Beverly udała zdziwienie, dowiedziawszy się, że Frances wyszła za mąż tak wcześnie. Sama, jak twierdziła, nie miała pewności, czy w ogóle chce to zrobić. Była ładna i często zmieniała chłopaków. Chętnie o nich rozmawiała w sposób sugestywnie drobiazgowy, gdy pilnowały dzieci bawiących się w brodziku lub piaskownicy. Twierdziła jednak, że czerpie tak duże zadowolenie z wolności, iż nie chce już teraz ustabilizować się i wyjść za mąż. Było jej łatwo pozostawać w panieńskim stanie, bo posiadała fundusz powierniczy, a poza tym, jak sugerowali raczej złośliwie Phil i John, kolejni narzeczeni interesowali się Beverly właśnie dlatego, że istniało niewielkie ryzyko zażądania od nich oficjalnych oświadczeń. Ale bez względu na to, czy postępowała brawurowo, czy też nie, to, co opowiadała o swoim życiu miłosnym, nieuchronnie skłaniało Frances do dokonywania porównań z własnym. Tak samo było z treścią artykułów zamieszczanych w magazynach, które Beverly z uporem jej wciskała, równie prostackich jak liczne ewangeliczne rozprawy z krzykliwymi hasłami nowej wiary. I tak jak dotychczas Frances uważała, iż pomimo konieczności przeczytania przez Johna książki *O czym powinien wiedzieć mężczyzna* ona i jej mąż mają całkiem normalne życie seksualne, tak teraz zaczęła sobie zdawać sprawę, że coś jest nie w porządku.

Zbliżenia intymne wydawały się jej bolesne i bardzo krótkie, a nawet przerażające. Skromna z natury, nigdy nie widziała Johna nagiego ani też nie paradowała przed nim bez ubrania. Z pewnością przeżyłby szok, gdyby mu zasugerowała zdjęcie piżamy. John zawsze najpierw gasił światło i dopiero wówczas zaczynał się do niej podkradać jak milczący zamachowiec. Zdarzało się to na ogół raz w tygodniu, bez gry wstępnej i rozmowy potem. Gdy się z nią złączył w akcie miłosnym, zwykle mruczał pod nosem przeprosiny, co było miłe z jego strony, i czule ją całował. Matka ją przestrzegała, że mężczyźni są bestiami, a mówiąc to, prawdopodobnie miała na myśli bolesne dla kobiet zaspokajanie przez nich swojej chuci. Kiedy jednak Frances przyzwyczaiła się do współżycia, nie było tak źle, i chyba nawet brakowałoby jej aktów miłosnych, gdyby John ich poniechał. W pozasłownej formie kontaktu wyczuwała szczerłość, gdyż John wyraźnie jej pragnął, jak głodny chłopiec pragnie chleba, niezależnie od tego, czy postępuje zręcznie i przebiegle, czy też nie.

Teraz jednak, dzięki lekturze idiotycznych magazynów, które pożyczała jej Beverly, Frances odkryła, że ma prawo tak samo jak John czerpać z aktu przyjemność. Nie zdradziła się przed przyjaciółką ze swoim nieskomplikowanym podejściem do seksu, bo było jej strasznie głupio i czuła się tak, jakby została przyłapana na niewiedzy, jak należy się postugiwać nożem i widelcem. Słuchała jednak Beverly uważnie, chłonęła informacje i robiła, co mogła, żeby sprawdzić je w praktyce. Niestety, na próżno. Uznała więc, że jest kobietą oziębłą, jak określano to w owych magazynach, jedną z tych nieoświeconych, które nie potrafią czerpać przyjemności z uprawiania seksu. Mimo to postanowiła w najbliższym tygodniu nie ustawać w wysiłkach, żeby coś się zmieniło. Nie zważając na to, że John może być zszokowany jej zachowaniem, zdecydowała się zachęcić go do kochania się z nią co noc, rozpaczliwie bowiem pragnęła drugiego dziecka. Nie tylko po to, by zadowolić swoją matkę. Jej bracia spłodzili wszak mnóstwo dzieci. Po prostu egoistycznie pragnęła mieć córkę. W przedszkolu przyłapała się na tym, że woli dziewczynki od chłopców. Głaskała jedną po kędzierzawych włosach, gdy ta z wielkim zaangażowaniem bawiła się piekarnikiem dla dzieci, a inną zachęcała, aby usiadła jej na kolanach i posłuchała opowieści. Gdyby tylko John mógł zaspokoić to pragnienie, zaspokajając przy okazji jakieś swoje własne, niechby tak było. (...)

To był ten dom. Ten sam. Pod efektowną farbą i ślicznymi tkaninami czyhał ponury brązowy bungalow, który z powodu wydarzeń, jakie wcześniej miały tu miejsce, tak głęboko zapadł Frances w pamięć, że żadna choroba nie mogła tego zmienić. Rozpoznała go od razu, jeszcze w samochodzie, i niemądrze zaczęła o tym mówić. Gdy jednak zdała sobie sprawę, że nie rozpoznał go ani John, ani, dzięki Bogu, Will, ukryła przed nimi wspomnienia, oświadczając z wdziękiem, że widocznie coś jej się na starość pomieszało. Mimo to obserwowała obu, lecz nie po to, po co oni ją obserwowali – aby dostrzec satysfakcjonujące ich oznaki zadowolenia – ale chcąc się upewnić, że pamiętają i tylko udają, iż tak nie jest. (...)

– Jak miło – powiedziała szczerze. – Nigdy mi nie mówisz o swoim życiu miłosnym – dodała. Zdobyła się na te słowa, bo czuła się szczęśliwa i nie obchodziło jej, jakie niepisane zakazy łamie. – Jak sobie dajesz radę?

– Och, jakoś. – Odwrócił wzrok, jedząc frytkę. Gdy znowu na nią spojrzął, uśmiechnął się, maskując ból, który ją zaskoczył.

– Nie chcesz mieć rodziny?

– Naprawdę nie chcę, mam – odparł, tym razem niezdolny do uśmiechu.

– Czyżby nasza stanowiła taki odpychający przykład?

– Absolutnie nie – zaprzeczył, ale powiedział to zbyt stanowczo, aby ją przekonać. (...)

Po powrocie do domu było jej niedobrze i czuła się zdezorientowana, poszła więc do swojego pokoju i zostawiła Willa samego, by mógł napisać parę słów na widokówkach do przyjaciół. Ale gdy tylko zdjęła buty i spódnicę i położyła się do łóżka, a następnie okryła przyjemnie chłodnym prześcieradłem, odechciało jej się spać i poczuła paniczny strach.

Zapominała o rzeczach i sprawach niezwykle istotnych – o kluczach, urodzinach, umówionych spotkaniach czy zapalonym palniku gazowym – a jej myśli były jak dłonie coraz bardziej gorączkowo otwierające i zamykające drzwi do schowków i nieznajdujące niczego. Ale im dłużej te poszukiwania okazywały się bezowocne, tym bardziej bała się coś znaleźć. (...)

Więcej na www.wnk.com.pl